

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

PARYSKIE GADY.

61

Przerażenie paraliżowało wszystkie ruchy nędznika. Odważny był wobec śmierci, lecz nie wobec skandalu, obecnie nieuniknionego. A przytem to niespodziane i tajemnicze najście katów mogło go strachem przejąć... Jak oni tu weszli?...

Czy zabiją go w ciemności?

Nagle zajaśniała lampa.

Maksym Duret ujrzał przy guziku od elektryczności jakiegoś złowika, a przy nim drugiego, który trzymał szczypcę stalowe. Byli oni w czarnych maskach i czarno ubrani.

Przez długą chwilę obie postacie stały nieruchomo z oczami utkwionymi w prezesa, który patrzył na nie, nie czyniąc żadnego ruchu, nie mówiąc jednego słowa. Potem cofnęły się one ku drzwiom.

Jeden z nich zaczął się o dywan na podłodze i stracił równowagę. Upadł na kolana a towarzyszy podtrzymywał go.

— Przepraszamy... Łaski...

Słowa te, wymówione przez tajemniczych gości, tłumione były przez maski na ich twarzach.

— Niech pan nie woła... Pozwoli nam odejść...

Nic panu nie zrobimy...

Mówił to człowiek, który stał. Drugi podnosił się i dodał:

— Tak... Nic panu nie zrobimy... Ale bez krzyku!...

Maksym Duret nie poznawał tu głosu ani Maixenta ani żadnego z jego przyjaciół. Nie mógł też zrozumieć, czego od niego żądają.

— Kto panowie jesteście?... Czego chcecie? — zapytał wreszcie pocichu ostrym tonem.

Przybyli zdjęli maski. Byli oni tak bladzi, jak i prezes.

— Ja już panów gdzieś widziałem — mówił dalej nędznik. — Czy nie w expresse?...

Były to twarze tych dwóch eleganckich panów o minie poważnej i nadzwyczaj wyniosłej, których można było wziąć za dyplomatów lub milionerów.

Zewnętrzna postać pasażerów pociągów luksusowych może często być bardzo omylna. Nocni goście prezesa nie odgrywali żadnej roli na giełdach europejskich. Nazwiska ich więcej były znane na quai d'Orfèvres niż na quai d'Orsay. Nazywali się Wiliam Palmer i Fred Burley, urodzeni w Londynie i zajmowali się tak na kontynencie, jak i na swej wyspie chloroformowaniem. Policja wszystkich części świata nieraz już miała z nimi do czynienia. Dla odwagi swej i zręczności zajmowali w swym zawo dzie miejsce zaraz po Panajonie, który wiedział o nich i oddawał winny hold ich zaletom.

Obydwom opryszkom udało się w drodze skraść portfel jednemu z pasażerów, poczem wysiedli oni w Hendaye, by następnego dnia wrócić znowu expressem do Paryża. Na noc udali się do Grand Hotelu. Ponieważ jednak pluskwy przeszkadzały im spać, postanowili zająć się lokatorem sąsiedniego pokoju, by w ten sposób spędzić noc przyjemnie i korzystnie. Gdy chłopiec stał łóżko sąsiada, skrzyknęło ono i z tego poznali, w którym miejscu stoi. W ścianie wykrecili też zaraz małą dziurkę, która powinna była się znajdować akurat nad głową śpiącego. W otwór ten wsadzili koniec rozpylacza chloroformowego i nacisnęli piston. Wtedy właśnie Maksym Duret poczuł jakiś odór, którego nie mógł dokładnie rozpoznać. Ponieważ jednak nie leżał na łóżku, lecz siedział pośrodku pokoju, narkotyk ten nie mógł wywrzeć swego skutku.

Gdy w chwilę potem obydwa złoczyńcy otworzyli drzwi zapomocą „ouistiti“ i weszli do środka, ten, który miał spać, czuwał w najlepszym.

Po omacku poszukali guzika od elektryczności

i zaświecili lampę, by zrewidować ubranie i bagaż swego sąsiada. Przerazili się też bardzo, gdy ujrzeli puste łóżko i tego starca w czarnym ubraniu, który siedział nieruchomo, milczący w swym fotelu i patrzył na nich. Palmer i Burley zdumieni, osłupiali, przerażeni, nie śmiali zrobić żadnego ruchu. Potem, cofając się, chcieli wymknąć się, gdy jeden z nich potknął się i upadł. Teraz z odkrytymi twarzami prosili o łaskę po raz pierwszy w swym życiu.

Maksym Duret zaczął się wreszcie domyślać wszystkiego.

Złoczyńcy jednak nic nie rozumieli. I często jeszcze potem dziwili się, kto był ten dziwny człowiek z miną wyższego urzędnika, który noc spędzał, siedząc pośrodku pokoju i nie wołał na pomoc, ani nie rzekł głośniejszego słowa, gdy włamywali się do niego.

Prezes przypominał sobie odór, który poczuł poprzednio. Znał się dobrze na wszelkiego rodzaju praktykach złodziejskich i poznał teraz, kim są jego goście.

— Chcieli mnie panowie zachloroformować — rzekł.

— Nie... Wcale nie — zaprzeczał Wiliam Palmer, ale bez przekonania.

— Widoczne to jest... Nie potrzebowałbym długo szukać, by znaleźć koło mego łóżka otwór, przez który sączyli panowie swój narkotyk...

— Proszę pana... szepnął Fred Burley — już nigdy tego nie będziemy robili...

Nie wiedział sam, co mówi. Był bardziej przerażony od swego kolegi. On to właśnie się potknął.

— Dobrze! — rzekł Maksym Duret. — A teraz niech mnie panowie zostawiać w spokoju! Proszę wyjść... A zresztą nie! Jeszcze słowo!

Złodzieje, którzy już stali przy drzwiach, zatrzymali się.

— Nie mam z sobą żadnej torby podróżnej — mówił dalej prezes — i kieszenie moje są prawie puste... Jeżeliby nawet udało się panom uspić mnie, to i tak łup wasz byłby bardzo mały. W hotelu tym jednak jest kilka osób, lepiej zaopatrzonych w gotówkę, niż ja.

Słowa te w każdym innym wypadku zastanowiłyby Palmera i Burleya. Obecnie jednak byli tak jeszcze przestraszeni, iż myśleli tylko o ucieczce.

— Jedna nawet z tych osób — ciągnął Maksym Duret — jest miliarderem...

Zdanie to wywarło teraz pewne wrażenie.

— Miliarder? — nie mogli powstrzymać się mimo przestrachu od powtórzenia Palmer i Burley.

— Tak... Daleko więc jest korzystniejszym dla panów zająć się mymi sąsiadami, niż mną...

Zdumienie chloroformistów dochodziło punktu kulminacyjnego.

— By panów przekonać, że moje wskazówki są prawdziwe — dodał prezes — powiem, dlaczego je daję... Sąsiedzi ci są moimi nieprzyjaciółmi... Rozumieją też panowie teraz, dlaczego nie pogniewałbym się, gdyby zostali uspieni waszym chloroformem... a nawet gdyby ich sen został przydłużony przy pomocy sztyletu...

Palmer i Burley słuchali tego z szeroko rozwartymi ustami.

— Proszę wyjść już! — rzekł Maksym Duret, wskazując im na drzwi.

Uklonili się niezgrabnie i wyszli jeden za drugim.

Maksym Duret, nadstawiając uszu, słuchał, jak wracali do swego pokoju.

— Nic nie robią — mruknął do siebie z niechęcią. — Zostali przerażeni naprzód moim czuwaniem, następnie propozycją morderstwa... I teraz niezdolni są do niczego...

Zastanowił się na chwilę i dalej monologował:

— A gdybym dla zachęty ofiarował im jaką poważniejszą sumę?

Wzruszył ramionami i dodał:

— Największa nawet suma nie pobudziłaby ich

teraz do działania... A zresztą i takby się cofnęli przed pięciokrotnym morderstwem... Nie licząc już tego, że jest ono prawie niemożliwe...

Nędznik zaprzestał wreszcie tej rozmowy z sobą. Zawiedziony i zmęczony patrzył tylko na zegar, stojący między dwoma wazonami na kominku, oczekując chwili, kiedy wreszcie będzie mógł wyjść z hotelu. Koło jednego z wazonów stała buteleczka gumy arabskiej z pędzelkiem. Prezes spostrzegł ją już poprzednio, lecz nie zwracał na nią uwagi.

Nagle jawiła mu się jakaś myśl. Oczy jego spoczyły jeszcze raz na buteleczce, która poddała mu pewien projekt.

Wstał, wziął buteleczkę i zdjął z niej metalową kapslę. Przez chwilę przyglądał się ze zmarszczonym czołem temu żółtawemu, gęstemu płynowi.

— W każdym razie mogę spróbować — szepnął.

Wyjął truciznę, jaką miał z sobą, z kieszeni, odkorkował ją i przelał do buteleczki z gumą. Potem pędzelkiem pomieszał oba płyny, które stały się teraz jakiegoś nieokreślonego koloru.

Podszedł pocichu do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz, wzdłuż którego przy drzwiach stały poustawiane trzewiki podróżnych.

— To są trzewiki chloroformistów — szepnął do siebie.

Te zostawił, a zabrał inne i wrócił z nimi do pokoju. Było ich pięć par.

Nędznik ustawił je na stole i zaczął pędzelkiem smarować ich wnętrza płynem, który poprzednio przygotował.

Zajęty tą pracą, nie przestawał mówić sam z sobą.

— Słyszam, że żółte obuwie, farbowane szkodliwymi farbami, zatrąło osoby, które je nosiły... Dyabeł musiałby się w to wmieszać, jeżeli moja mikstura pozostałaby bez skutku... Za dziesięć minut guma wyschnie... Gdy będą kładli trzewiki, nic nie spostrzegą... Od transpiracji nogi płyn się rozpuści i będzie przenikał wolno przez skórę do krwi... By się to jednak udało, muszą oni dużo chodzić... Będą szli! Już ja się o to postaram.

W dziesięć minut potem pięć par obuwia stało na swym miejscu.

Maksym Duret zasiadł znowu w fotelu. Zapadł zaraz w pół sen, otwierając co chwila oczy, by spojrzeć na zegar.

Przed piątą godziną zadzwonił.

Ukazał się wkrótce zaspany chłopiec z potarganymi włosami.

— Proszę przynieść mi kawę i rachunek — rozkazał prezes.

— Czy pan już odjeżdża?

— Tak... Pierwszym pociągiem chcę wrócić do Saint Jean de Luz...

— Odchodzi o piątej trzydzieści pięć...

— Proszę się pośpieszyć!

— Czy pojedzie pan na dworzec omnibusem?

— Nie... Pójdę pieszo...

W chwilę potem Maksym Duret wypił kawę i zapłacił rachunek.

Nie było jeszcze szóstej godziny, niebo na wschodzie nawet było jeszcze czarne, gdy oddalał się z Hendaye, idąc szybkim krokiem w stronę Trzech Koron, których ciemne masy zamykały horyzont, postrzępiony szczytami gór.

XVI.

W hotelu w pokojach innych gości zaczęto się dopiero poruszać. Panajon wstał ostatni. Nie mógł się ocknąć z głębokiego snu. Gdy wreszcie wstał, czuł się jeszcze rozbity, lecz był już wypoczęty. Humor mu dopisywał i ubierając się szybko, naśladował nosem głos rogu myśliwskiego, nucąc melodyę: „Naprzód strzelcy, czas już w drogę“.

O kwadrans na siódmą Panajon, piękna prawniczka, Lewis Jackson, Piotr i Joe Smith, siedzieli